



Kryminał z myszką

31

Szmarag- dowy krucy- fiks

Albert
Wojt

Albert Wojt

SZMARAGDOWY KRUCYFIKS

Kryminał z myszką – Tom 31

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-94-6

Copyright © Wojciech Sadrakuła

Tekst: Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1986 (Labirynt)

Nakład pierwszego wydania: 240 000 + 300 egz.

I

Jonathan Dembinsky z niekłamany obrzydzeniem przełknął kolejny łyk ciepłej, lurowatej whisky. Od blisko trzech godzin tkwił przy brudnym stoliku w obskurnym, motelowym barze i gapił się przez dawno nie myte okno na zielono-pomarańczowy camping oznaczony rzekomo szczęśliwym numerem siedem. Domek był już uwieczniony na kliszy kieszonkowego aparatu fotograficznego, podobnie zresztą jak sportowy jaguar, jego mocno podtatusiały właściciel i ruda niczym wiewiórka dama o wystających kościach policzkowych. Właśnie zazdrosnemu mężowi owej damy zawdzięczał Jonathan dzisiejszą wycieczkę do motelu, nie wspominając o spoczywającym w wewnętrznej kieszeni marynarki czeku na dwieście pięćdziesiąt dolarów. Analogiczna kwota mogła też stać się jego własnością w przypadku dostarczenia zleceniodawcy przekonujących dowodów zdrady małżonki. Niestety okna pawilonu numer siedem były zamknięte na głucho, a od środka zasłaniały je szczelne żaluzje i detektyw nie miał możliwości dyskretnego sfotografowania grzesznej pary in flagranti. Forsowanie drzwi przy użyciu wytrycha bądź siłą wiązałoby się z ryzykiem gwałtownej reakcji właściciela motelu. W tej sytuacji Jonathanowi nie pozostawało nic innego, jak cierpliwie czekać, aż damie i jej adoratorowi znudzą się amory, a potem sfotografować ich w momencie opuszczania campingu.

Prawdę powiedziawszy Dembinsky nigdy nie przepadał za śledzeniem niewiernych żon, od dłuższego czasu tak się jednak składało, że musiał przyjąć z pocałowaniem ręki każde zlecone mu zadanie. Sam dobrze nie wiedział, czy wzrosła konkurencja, czy spadło zapotrzebowanie na oferowane przez niego usługi, dość że bywały tygodnie, kiedy żaden klient nawet nie zajrzał do klitki noszącej szumne miano biura a odnajmowanej za ciężkie pieniądze przy jednej z głównych ulic Nowego Jorku. Nie raz już i nie dwa detektyw zastanawiał się nad zwinięciem interesu i poszukaniem innego zajęcia ale w końcu zawsze trafiał się ktoś z mniejszym lub większym kłopotem, z którym sam nie umiał sobie poradzić, i z czekiem na kilka dolarów.

Gwałtowny łoskot otwieranych kopniakiem drzwi wyrwał Jonathana z zamyślenia. Widok skórzanych kurtek policji stanowej nigdy nie nastrajał go optymistycznie. Teraz też przeprowadził w duchu błyskawiczny rachunek sumienia, ale doszedł do wniosku, że tym razem nikt nie powinien się do niego przyczepić. Miał właśnie zamiar spokojnie sięgnąć po swoją whisky, kiedy przy stoliku zatrzymał się blisko dwumetrowy dryblas o twarzy żywo przypominającej goryla.

– Wstań i połóż łapy na karku! – Ochrypli nie znoszący sprzeciwu głos mógł przyprawić o gęsią skórę. – No, dalej!

Dembinsky bez słowa spełnił polecenie. Wiedział dobrze, że w takiej sytuacji żadne protesty nie są wskazane.

– Coś ty za jeden? – Drugi z policjantów był nieco niższy, a wydatny brzuch i nalane policzki nadawały mu niemal dobroduszny wygląd.

– W prawej, zewnętrznej kieszeni mam licencję i prawo jazdy – poinformował skwapliwie.

– Prywatny szpicel? – Ten z twarzą goryla omal nie rozdarł Jonathanowi marynarki, kiedy pakował mu rękę do kieszeni i wyciągał licencję detektywa. – Słyszałeś, Jack? Byle pęta z Nowego Jorku wyobraża sobie, że bez pytania może węszyć po naszym terenie.

– Takie czasy, Bob, takie czasy. We łbach się ludziom przewracało.

– Teraz każdy lubi wtykać nos w nie swoje sprawy.

– I tak dobrze, że ten mały nie podskakuje.

– Tylko by spróbował!

Zarechotali głośnym, głupawym śmiechem i niższy w przypiływie dobrego humoru przyłożył Jonathanowi łokciem po żebrach. Detektyw omal nie stracił równowagi. Pierwszy kontakt z miejscowymi stróżami prawa nie wypadł najlepiej, mogło być jednak i gorzej.

– Czego tu szukasz? – Bob rozsiadł się wygodnie na jednym z krzeseł przy stoliku Jonathana.

– Jeden facet jest cholernie ciekaw, z kim jego żona przyprawia mu rogi.

– Przyjechałeś za babką zrobić jej kilka fotek?

– Zgadza się.

– Gdzie ona teraz jest?

– W siódemce. – Dembinski skinął znacząco w kierunku kolorowego domku.

– A co powiesz o jej adoratorze?

– Na razie wiem tylko, że ma czerwonego jaguara.

– Wpisali się do książki motelowej?

– Jako państwo Smith.

– Co ty na to, Jack? – Policjant o twarzy goryla jak gdyby odrobinę złagodniał.

– Diabli wiedzą. Może mały nie łże.

– Może...

Zamilkli. Dembinski dyskretnie rozejrzał się po barze. Wizyta policjantów wypłoszyła nielicznych amatorów lurowatej whisky i taniego piwa. Nawet barman zniknął gdzieś na zapleczu.

– Mam pewien pomysł, szpiclu! – Bob nieoczekiwanie chwycił detektywa za klapę marynarki i pociągnął ku sobie. – My wyświadczymy ci dwie przysługi, a ty postawisz nam butelkę.

– To brzmi całkiem interesująco – Jonathanowi przemknęła myśl, że w gruncie rzeczy sprawy nie układają się najgorzej. – Co miałbym za tę flaszkę?

– Przede wszystkim uzębienie w komplecie i nie uszkodzoną gębę.

– A poza tym?

– Moglibyśmy zajrzeć do tej siódemki i sprawdzić, czy twoja lalunia nie schowała pod łóżkiem bomby atomowej. Gdybyś przy okazji cyknął sobie fotkę, to byłaby już tylko twoja prywatna sprawa.

– Jesteście równe chłopaki! – Dembinski aż zatarł ręce z zadowolenia. – Spróbuję wydebić od barmana coś lepszego od tej lury. – Wymownym ruchem odsunął swoją szklankę.

– To chodźmy, bo gołąbki gotowe jeszcze wyfrunąć z gniazda.

Bob ociężałe podniósł się z miejsca i bez pośpiechu ruszył do wyjścia, a Jack już całkiem przyjaźnie poklepał Jonathana po ramieniu. Chwilę później wszyscy trzej znaleźli się na motelowym parkingu. Dembinski sięgnął do kieszeni po niewielki, mieszczący się w dłoni, aparat fotograficzny i odruchowo zerknął na licznik. Zostało jeszcze niemal pół błony, nie musiał więc zmieniać kasety.

– Co to za aparat? – W głosie niższego z policjantów zabrzmiała drwina. – Na fotkach pewno nie można nikogo rozpoznać.

– Nie stać mnie na lepszego.

– Może to i lepiej. Nie będziesz płakał po stracie...

Bob zarechotał głośno. Jonathan podejrzliwie zerknął na niego, ale było już za późno. Fachowo wymierzony cios w okolicę dołka pozbawił detektywa oddechu, a dwa kolejne, w nos i szczękę, rzuciły go na ziemię. W rozpaczliwym odruchu zwinął się w kłębek i schował głowę. Zaczął liczyć kopniaki. Pamiętał jeszcze piąty. Przy szóstym poleciał niczym kamień na samo dno Wielkiego Kanionu.

II

Pamela Burger zdecydowanym ruchem zgasila wypalonego do połowy papierosa. Postanowiła, że nie będzie czekała nawet sekundy dłużej. Sięgnęła do torebki po puderniczkę, by przytuszować liczne piegi na perkatym nosie, wielkim grzebieniem zaczesala rude włosy bardziej na czoło i ruszyła do wyjścia. Gasiła właśnie światło w niespełna pięciometrowej klitce, zwanej szumnie gabinetem, kiedy cichy brzęczyk poinformował ją, że ktoś otworzył właśnie drzwi do poczekalni. Zjeżyła się niczym rozjuszona kotka.

– Nie dość, że od trzech tygodni nie płacisz mi ani centa, to jeszcze muszę wysiadywać w tej cholernej norze diabli wiedzą do której! – Rozpuściła język nie czekając na wejście pryncypała. – Mam już tego po dziurki w nosie, rozumiesz?! Znajdź sobie inną frajerkę. Ja zwijam manatki!

Odczekała chwilę, ale nikt nie przekroczył progu gabinetu. Z odrobiną niepokoju pchnęła drzwi do dykty i mrożonego szkła. Na jednym z krzeseł stojących w mikroskopijnej poczekalni siedział Dembinsky. Wyglądał, jakby przejechał po nim walec drogowy.

– Daj mi szklaneczkę – wystękał.

– Boże, co się stało?!

– Dwaj gliniarze pouczyli mnie, że nie należy wsadzać nosa w cudze sprawy.

– Nie rozumiem?

– Nigdy nie grzeszyłaś nadmiarem inteligencji! – westchnął z rezygnacją. – Po prostu policja z Hazleton uważa, że jeśli koleś miejscowego szeryfa ma ochotę kochać się z panią Brandon, to ani mnie, ani staremu Brandonowi nic do tego. – Odruchowo przejechał dłonią po obolałej i pokrwawionej twarzy, potem smętnie popatrzył na rozdarty rękaw skórzanej kurtki, by w końcu utkwic bezmyślne spojrzenie w sztywnej od błota nogawce spodni. – Prawdę powiedziawszy sam nie wiem, jakim cudem stamtąd wróciłem. Tak mi dołożyli, że na dobrą sprawę powinienem zakończyć jazdę na pierwszym przydrożnym drzewie.

– Biedaku...

– Przyniesiesz wreszcie tę whisky? Od pustej gadaniny jeszcze nikomu nie przestało łupać w obolałej łepetynie.

Potulnie pobiegła do gabinetu, by po chwili wrócić ze szklanką wypełnioną w trzech czwartych złocistym płynem. Detektyw wypił duszkiem i wymownym gestem poprosił o jeszcze. Po drugiej porcji poczuł się znacznie lepiej. Wsunął do ust kostkę gumy do żucia i wyprostował się na krześle.

– Ciekawe, czy stary Brandon będzie na tyle przyzwoity, by dołożyć mi choć ze dwie setki za tę dzisiejszą historię? Muszę gościa zdrowo przycisnąć.

– Gdzieś koło południa pytał o ciebie jeden facet – przypomniwała sobie sekretarka.

– Kto taki?

– Uciekinier ze wschodniej Europy, czy coś w tym rodzaju. Gadał niczym Murzyn z buszu, niewiele z tego zrozumiałam, a nazwiska, gdyby nie wizytówka, w życiu bym nie zapamiętała.

– Może Polak? – Dembinsky wyraźnie się ożywił.

– Diabli wiedzą. – Pamela wzruszyła ramionami. – Ja ich nie rozróżniam.

– Czego chciał?

– Jeśli o dziesiątej zajrzysz do baru naprzeciwko, to się dowiesz.

Jonathan zerknął na zegarek, który dziwnym trafem ominęły buty strażników prawa z Hazleton. Do dwudziestej drugiej brakowało jeszcze trzech kwadransów, miał więc trochę czasu na przygotowanie się do wyznaczonego spotkania. Dźwignął się z krzesła i pokuszył do gabinetu. Pod wyszczerbioną szybą przykrywającą blat cokolwiek zdezelowanego biurka tkwiła elegancka wizytówka. Detektyw sięgnął po nią i na jego twarzy pojawił się nikły uśmiešek. Potencjalnym klientem okazał się niejaki Antoni Paszczyński.

Ponad pół godziny później Dembinski już w czystej koszuli i z poklejoną plastrami twarzą pchnął oszklone drzwi baru mieszczącego się niemal naprzeciwko jego biura. W środku panował półmrok. Czerwone ściany, obicia i kotary w oknach nasuwały dość dwuznaczne skojarzenia, co nie przeszkadzało zupełnie obściskującej się w jednym z kątów parze ani kiwającemu się nad zastawionym puszkami po piwie stolikiem brodatemu jegomościowi w bliżej nie określonym wieku. Jonathan ulokował się na wysokim stołku przy barze i zamówił podwójną whisky. Nie pozostawało mu nic innego, jak cierpliwie czekać.

Minął dobry kwadrans i w szklaneczce pokazało się dno. Dembinski zerknął na stojącego tuż obok barmana i miał ochotę poprosić go o następną porcję, kiedy skrzypnęły drzwi i w progu stanął wysoki, postawny mężczyzna koło pięćdziesiątki. Inteligentna twarz, drogie ubranie i rzucająca się w oczy pewność siebie znamionowały kogoś zajmującego znacznie wyższą pozycję od przeciętnego bywalca taniego lokalu.

– Mister Paszczyński? – domyślił się Jonathan, kiedy mężczyzna podszedł do baru. – Miło mi pana poznać.

– Witam. – Dłoń tamtego była zimna niczym u nieboszczyka i miękka, jak gdyby wyjęto z niej wszystkie kości. – Pan jest tym detektywem z przeciwnika?

– We własnej osobie. – Dembinski sięgnął po swą licencję. – Czym mogę panu służyć?

– Może siądziemy? – Paszczyński nie czekając na odpowiedź ruszył do stolika w kącie, a Jonathan wyjął barmanowi z ręki butelkę, zabrał dwie szklaneczki i bez słowa pomaszerował za potencjalnym klientem.

– Pewno widział mnie pan w zeszły piątek w telewizji? – Paszczyński uznał, że przed przystąpieniem do rzeczy lepiej uświadomić detektywowi, z jak ważną osobą ma do czynienia. – Mój wywiad szedł na wszystkie stany północno-wschodniego wybrzeża.

– Przykro mi, ale oglądam wyłącznie baseball, koszykówkę i kronikę policyjną. – Dembinski napełnił obie szklaneczki i zachęcającym gestem podniósł swoją. – Polityka mnie nie interesuje.

Paszczyński skrzywił się, jakby połknął na surowo dżdżownicę.

– Cóż, mogłem się tego spodziewać – bąknął, usiłując ukryć zmieszanie. – Większość Polaków już w drugim pokoleniu zapomina o swym rodowodzie. Ale przecież pańskie nazwisko...

– Gadanie! Gdybym nazywał się Ford czy Rockefeller, nie musiałbym zaraz być milionerem.

– Mówi pan po polsku?

– Ojczulek, świeć panie nad jego duszą, zadbał o tę część mojej edukacji. – Jonathan przeszedł na polski i okazało się, że świetnie sobie radzi. – A później ja sam zgłębiałem subtelności tej pięknej, chociaż nie zawsze, mowy – dodał.

– A chciałby pan odwiedzić rodzinne kąty?

– Urodziłem się po tej stronie Atlantyku.

– Rozmowa z panem nie należy do najłatwiejszych.

– Po prostu moje szare komórki potrzebują bodźca w postaci kilku zielonych papierków.

– Rozumiem. – Paszczyński uśmiechnął się półgębkiem. – Czy pięćdziesiąt kawałków wystarczy, by pański mózg zaczął sprawniej pracować?

Detektyw przez chwilę spoglądał na tamtego z niedowierzaniem.

– Pięćdziesiąt kawałków? – powtórzył.

– Ni mniej, ni więcej.

– To śmiesz na odległość. – Wypita whisky błyskawicznie wywietrzała Jonathanowi z głowy, dzięki czemu jedyny logiczny wniosek nasunął się sam.

– Tylko trochę, panie Dembinski, tylko trochę.

– Tyle płacą za podłożenie bomby albo wyprawienie kogoś na łono Abrahama.

– Za kogo, u diabła, mnie pan bierze? – W głosie Paszczyńskiego zabrzmiała nieklamana uraza. – Za gangstera czy zwariowanego terrorystę? Proszę przyjąć do wiadomości, że w Polsce nie byłem byle kim. Szanowano mnie, poważano, cieszyłem się nieposzlakowaną opinią!

– Czego pan właściwie ode mnie chce? – patetyczna przemowa tamtego nie zrobiła większego wrażenia na detektywie.

– Już panu mówiłem, że chodzi o wyjazd do Polski.

– W jakim celu?

– Nieoczekiwany rozwój wypadków zmusił mnie do opuszczenia kraju w dużym pośpiechu. Nie zdążyłem zabrać wielu rzeczy stanowiących moją własność.

– A to, co zostało, skonfiskowały polskie władze?

– Nie wszystko. To i owo udało mi się schować.

– Teraz rozumiem. Pan chciałby, żebym za pięćdziesiąt kawałków zabawił się w przemysłnika?

– Niezupełnie – sprostował Paszczyński. – W przerzucie przez granicę pomogłaby panu wskazana przeze mnie osoba. Pańskim zasadniczym zadaniem byłoby odzyskanie depozytu.

– Innymi słowy, mam dopilnować, żeby w Polsce nikt nie wystawił pana do wiatru?

– Można to tak określić.

Umilkli. Jonathan przez dłuższą chwilę ważył usłyszane przed chwilą słowa. Wyprawa do znanego jedynie ze słyszenia kraju przodków mogła ściągnąć na jego głowę całą masę trudnych do przewidzenia kłopotów, z drugiej jednak strony perspektywa zarobienia pięćdziesięciu tysięcy dolarów stanowiła nie lada pokusę. Ostatecznie uznał, że gra jest warta świeczki.

– Zgoda! – Skinął głową na znak, że przyjmuje zlecenie. – Będę dla pana pracował, panie Paszczyński.

– Wiedziałem, że nie odmówi pan rodakowi.

– Pragnąłbym teraz usłyszeć coś bliższego na temat mojego zadania. – Dembinski wolał przystąpić do konkretów. – Przede wszystkim proszę mi powiedzieć, co i gdzie pan schował.

– Zapewne słyszał pan o niebywałym rozkwicie kultury i sztuki w Polsce w szesnastym stuleciu?

– Prawdę powiedziawszy w ogóle niewiele wiem o Polsce.

– Trudno. Wyjaśnię panu rzeczy najistotniejsze. Z tego okresu – przystąpił do interesującej go sprawy – zachowało się wiele cennych zabytków sztuki złotniczej. Jednym z nich był złoty krucyfiks wysadzany rubinami i szmaragdami. Historycy nie mogli się zgodzić co do dokładnego czasu i miejsca powstania krucyfiks, nie zdołali też ustalić, kto był jego pierwszym właścicielem. Wiadomo tylko, że był własnością wielkich rodów magnackich, a później przez blisko dwa stulecia przeleżał w ruinach jakiegoś zamczyska. Kilka lat temu stał się on moją własnością.

Paszczyński sięgnął do kieszeni i położył przed detektywem duże, kolorowe zdjęcie. Jonathan aż gwizdnął z podziwu. Wystarczył mu jeden rzut oka, by zorientować się, że widniejący na fotografii szesnastowieczny, bogato zdobiony krzyż wart jest majątek. Aby zdobyć ten krucyfiks, warto było zainwestować kwotę nawet wielokrotnie wyższą niż obiecanie mu honorarium.

– Nie powiedział pan jeszcze, gdzie mógłbym zobaczyć krzyż w oryginale.

– Na jakiś miesiąc przed wyjazdem z Polski powierzyłem go serdecznemu przyjacielowi z dawnych czasów, niejakiemu Tomaszowi Drawskiemu. Niestety Tomasz zmarł, a ja nie wiem, co zrobił z krucyfiksem.

– Nie ma pan w Polsce nikogo, kto zechciałby panu pomóc?

– Zaprzyjaźniony adwokat, Adam Poniszyński, przez blisko rok czynił starania, by trafić na jakiś ślad krucyfiksu. Sprawą zajmował się również mój kuzyn, Benedykt Sładkowski. Niestety obaj nie mieli szczęścia.

– I pomyślał pan, żeby odnalezienie szmaragdowego krzyża powierzyć mojej skromnej osobie?

– Otóż to.

– Czuję się zaszczycony, ale jest jeden problem.

– Mianowicie?

– Szczerze wątpię, czy polskie władze zechcą honorować moją licencję prywatnego detektywa.

– Na to nie możemy liczyć. Musi pan pojechać do kraju incognito, najlepiej pod pozorem odwiedzenia rodziny albo jako drobny businessman mający ochotę na założenie firmy polonijnej. Zresztą niech pan sam ruszy głową. W końcu za to panu płacę.

III

Potężne podmuchy wiatru z przeraźliwym wyciem pędziły przez przełęcz tumany śniegu. Leśniczy Pęczyna spróbował zrobić jeszcze kilka kroków, ale wiedział już, że dzisiaj nie dokończy codziennego obchodu. Miał dosyć zmagania z wichurą, a nic nie zapowiadało rychłej poprawy pogody. Raz po raz tracił równowagę, lądował po pas w zaspach, śnieg zalepiał mu usta i oczy, wciskał się za kołnierz i pod czapkę. Nie pozostawało nic innego, jak dać za wygraną.

Leśniczy przystanął przy jakiejś rachitycznej jodełce i przez dłuższą chwilę wyteżał wzrok. Dobrze wiedział, że od ściany lasu dzieli go nie więcej niż pięćdziesiąt metrów, cóż, kiedy z powodu zawiei nie widział dalej aniżeli na odległość wyciągniętej ręki. Mimo wszystko postanowił zaryzykować. Skręcił w prawo i ruszył w dół po niezbyt stromym stoku.

Pierwszych kilkanaście kroków przebył szczęśliwie, choć przyszło mu brnąć po kolana w śniegu. Zgodnie z przewidywaniami dotarł do rozłożystej jodły, chwilę później zamajaczyły przed nim kontury dwóch niższych, rosnących tuż przy sobie. Jeszcze parę metrów i nagle stanął niezdecydowany. Teraz powinien mijać stary modrzew ze zwęglonym przez piorun czubkiem. Nie dalej jak przedwcześniej widział drzewo rosnące na skraju niewielkiej rozpadliny, ale dzisiaj nie było po nim nawet śladu.

Pęczyna posunął się o krok, potem przyklęknął, próbując sprawdzić nachylenie stoku. Poczul na plecach zimny pot. Pamiętał, że kilkadziesiąt metrów dalej, z prawej strony, zaczynała się przepaść. Gdyby teraz zabłądził, mógł by nie dożyć jutra. Po chwili wahania wstał i skręcił nieco w lewo. Przeszedł dwa kroki i nagle uderzenie wichury rzuciło go w śnieg. Niezdarnie zaczął gramolić się z zaspy, ale lewa noga uwięzła mu pod czymś twardym. Miotając soczyste przekleństwa odgarnął rękami śnieg. Odetchnął z wyraźną ulgą. Okazało się, że poszukiwany modrzew po prostu nie wytrzymał zawieruchy.

Niespełna kwadrans później Pęczyna dotarł do skraju lasu. Krzepkie świerki trzeszcząc i stękając ugiwały się pod naporem wiatru, ale w porównaniu z otwartą przestrzenią przełęczą było tu zaciszniej. Leśniczy przedarł się przez kilkumetrowy pas krzaków i dotarł do niezbyt głębokiego wąwozu. Dnem biegła wąska, leśna droga. Teraz mógł już wracać do leśniczówki nawet z zamkniętymi oczami.

Przez pierwsze pół kilometra wąwóz prowadził stromo w dół, potem droga skręciła w lewo i spadek wyraźnie złagodniał. Jeszcze kilka minut marszu, kolejny zakręt, krótkie, choć ostre podejście i Pęczyna znalazł się na sąsiednim zboczach. Gdyby nie lata spędzone w górach, pewno przeżegnałby się ze zdumieniem. Panował tutaj idealny spokój i nic nie wskazywało

na to, by tuż obok, za górskim grzbietem, szalała zawierucha. Śnieg tutaj ledwo prószył, a lekki wiaterek kojarzył się raczej z wiosenną pogodą niż ze środkiem zimy.

Za kolejnym zakrętem leśniczy dotarł do rozległej polany. Droga prowadziła jej górnym skrajem, a poniżej gładki stok opadał stromo aż do koryta zamarzniętego teraz potoku. Dalej zaczynał się dziki, poszarpany grzbiet, którym latem można było dotrzeć do uczęszczanej przez turystów i wczasowiczów Przechyby.

Pęczyna przystanął, by nieco odpocząć. Niespełna półtora kilometra od niego, po drugiej stronie potoku, szalała zadymka, podobnie jak na pozostawionej za plecami przełęczy. Zastanawiał się właśnie, czy przed leśniczówką śnieżycą nie dopadnie go znowu, kiedy nieoczekiwanie wiatr zmienił kierunek. Na polanie zakotłowało się niczym w piekle, ale moment wcześniej wichura odrzuciła śnieżną zasłonę z przeciwległego stoku. Dosłownie przez mgnienie oka widoczna była schowana w głębokim załamaniu maleńka, zanedbana chałupka starego Grybuchy. Leśniczy najprawdopodobniej nie zwróciłby na nią uwagi, gdyby nie wydobywający się z jednego z okien pióropusz ognia.

Śnieżny tuman znowu zasłonił wszystko, minęło jednak dobrych kilka sekund, nim Pęczyna zdołał ruszyć się z miejsca. Chciał wierzyć, że uległ przywidzeniu. Gdyby obejście paliło się rzeczywiście, trudno byłoby nawet marzyć o jakiegokolwiek pomocy. Jedyna dostępna zimą droga do chałupy liczyła z górą siedem kilometrów, a i tak nie przejechałby teraz tamtędy żaden samochód. Leśniczy zdawał sobie sprawę, że na nic się nie zda jego wysiłek, ale nie pozostawało mu nic innego, jak biec co sił w nogach do leśniczówki, a potem w kilku chłopa spróbować dotrzeć do obejścia Grybuchy.

IV

Samolot miękko dotknął płyty lotniska. Jeszcze przez dłuższą chwilę basowo grzmiały potężne silniki, a potem jasnowłosa stewardesa oznajmiła pasażerom, że wylądowali w Porcie Lotniczym na Okęciu. Dembinski bez pośpiechu ruszył do wyjścia. Na schodkach sięgnął go mroźny, orzeźwiający powiew wiatru. Jonathan poczuł coś w rodzaju rozrzewnienia. W końcu pierwszy raz w życiu miał stanąć na ziemi przodków.

Sympatyczna celniczka nawet nie zajrzała do walizki detektywa, za to wysoki, ciemnowłosy oficer ze starannie przyszytych wąsikami długo obracał w ręku amerykański paszport.

– Pan do rodziny? – zapytał domyślnie.

– Raczej w interesach – sprostował Dembinski. – Doszły mnie słuchy, że wasz rząd zezwolił na zakładanie firm polonijnych. Przypadkowo mam trochę wolnych dolarów, przyjechałem więc zobaczyć, jaki tu można zrobić business.

– Reprezentuje pan branżę kosmetyczną czy dziewiarstwo?

– Farby i lakiery. – Jonathan sięgnął do kieszeni po jedną z zamówionych tuż przed wyjazdem wizytówek.

– Lakerów brakuje na naszym rynku. – Oficer zdecydował się zwrócić paszport. – Życzę panu, by już wkrótce mógł pan uruchomić swoją wytwórnię.

Na postoju taksówek uformowała się spora kolejka. Detektyw pomyślał, że będzie musiał wynająć samochód, ale na razie nie pozostawało mu nic innego, jak cierpliwie czekać. Taksówki podjeżdżały rzadko i zdążył porządnie zmarznąć, nim przyszła jego kolej, toteż do hotelu „Forum” dotarł w dość kiepskim humorze.

Wbrew negatywnym opiniom Paszczyńskiego o polskich hotelach pokój Jonathana był ładny, łazienka przy nim czysta, a wyposażenie na zupełnie przyzwoitym poziomie. Detektyw wziął prysznic, zmienił koszulę i miał właśnie zamiar zejść do restauracji na kolację, kiedy jego wzrok padł na aparat telefoniczny. Przemknęła mu myśl, że na dobrą sprawę nic nie stoi

na przeszkodzie, by od razu przystąpić do realizacji zleconego zadania. Sięgnął po słuchawkę i chwilę później uzyskał połączenie.

– Słucham, Sładkowski. – Głos tamtego był nieprzyjemny, szorstki, jak gdyby zachrypnięty.

– Mówi Jonathan Dembinski.

– Witam, witam! Antoni pisał mi, że pan przyjedzie.

– Moglibyśmy się dzisiaj spotkać?

– Nawet zaraz. Gdzie pan się zatrzymał?

– W „Forum”.

– Będę u pana mniej więcej za godzinę.

– Proszę mnie szukać w restauracji. Prawdę powiedziawszy jestem wściekle głodny.

– Jak pana poznam?

– Proszę się o to nie martwić. W Stanach przeglądałem album ze zdjęciami całej rodziny pana Antoniego.

Kwadrans później detektyw zjechał windą do restauracji. W sali było sporo gości, na szczęście jednak nie miał większych kłopotów ze znalezieniem wolnego stolika. Zamówił coś na chybił trafił, ledwie rzuciwszy okiem na menu, i ciekawie rozejrzał się po sali. Towarzystwo było dość zróżnicowane. Najbardziej rzucały się w oczy dwie liczne, bardzo hałaśliwe i najwyraźniej wrogo do siebie nastawione, grupy Arabów. Trzech młodych Murzynów wytrwale wędrowało po sali, usiłując znaleźć nie tyle odpowiedni stolik, co chętne do zabawy partnerki. Filigranowy Japończyk, czy Koreańczyk, z ożywieniem opowiadał coś wysokiej blondynie „przy kości”. Kilka niebrzydkich przedstawicielek najstarszego zawodu świata spokojnie oczekiwało na klientów. Inni goście jakoś nie zwrócili uwagi Jonathana, może z wyjątkiem drobnej dziewczęco wyglądającej szatynki w towarzystwie siwego, postawnego mężczyzny po pięćdziesiątce. Zastanawiał się przez chwilę, czy to córka z ojcem, przygodni znajomi, czy też nie najlepiej dobrana para, wkrótce jednak jego rozmyślenia przerwał kelner, który postawił przed nim sznycel z groszkiem i szklaneczkę whisky.

Dembinski kończył właśnie posiłek, kiedy w sali pojawił się wysoki, nienaturalnie chudy mężczyzna z pokaźną łysiną i rzadką, ryżawą bródką. Detektyw zapraszającym gestem wskazał mu wolne krzesło przy swoim stoliku.

– Pan Sładkowski, jeśli się nie mylę – rzucił domyślnie.

– Jak pan widzi, jestem punktualny.

– Może od razu przystąpimy do rzeczy?

– Antoni zobowiązał mnie, żebym udzielił panu wszelkiej pomocy zarówno podczas pańskich poszukiwań w kraju, jak i przy ewentualnym przerzucie krzyża przez granicę. Proszę mną dysponować.

– Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, w jakich okolicznościach Paszczyński powierzył krucyfiks Drawskiemu?

– Akurat na ten temat nic nie mogę panu powiedzieć – Sładkowski uśmiechnął się blado. – Antoni nie poinformował mnie o zamiarze przekazania komuś szmaragdowego krzyża. Do ostatniej chwili byłem przekonany, że trzyma go w sejfie w swojej willi na Sadybie. Dopiero po wyjeździe Paszczyńskiego na Zachód zorientowałem się w sytuacji.

– Rozmawiał pan z Tomaszem Drawskim?

– Nie zdążyłem. Umarł, zanim Antoni upoważnił mnie do odbioru krucyfiksu.

– Czy to było zabójstwo?

– Zwyczajny zawał.

– Policja wdrożyła śledztwo?

– Niby po co? – W oczach Sładkowskiego pojawiło się nie ukrywane zdziwienie. – Przecież Drawski umarł w szpitalu, a wcześniej chorował na serce.

– Nie chce mi się wierzyć, żeby przed śmiercią nie powiedział nikomu, gdzie szukać szmaragdowego krucyfiks.

– Niestety, to zupełnie prawdopodobne. Ponoć zasłabł na ulicy i już nie odzyskał przytomności.

– Czy mieszkał sam?

– Z siostrzeńcem, niejakim Alfredem Daleckim. Rozmawiałem z nim, ale zrobił wielkie oczy, kiedy spytałem o złoty krzyż wysadzany drogimi kamieniami.

– Trzeba było rozejrzeć się po domu Drawskiego.

– Dalecki niezbyt przychylnie ustosunkował się do tego pomysłu. Ostatecznie wyraził zgodę, choć prawdę powiedziawszy poszukiwania przeprowadziliśmy bardzo pobieżnie.

– Czyżby siostrzeńcowi Drawskiego nie zależało na odnalezieniu krucyfiks?

– Tego nie wiem. W każdym razie zapewnił mnie, że w domu jego wuj na pewno nie trzymał żadnych cennych rzeczy.

– Zadowolili się pan tym wyjaśnieniem?

– Nie miałem innego wyjścia.

– Mógł pan w czasie jego nieobecności przetrząsnąć wszystkie kąty.

– Ależ szanowny panie! – Benedykt Sładkowski aż poczerwieniał z oburzenia. – Za kogo pan mnie ma? Może w Stanach są inne zwyczaje, ale ja nie miałem zamiaru bawić się we włamywacza.

– W porządku! – Jonathan nie próbował podejmować dyskusji. – Nie chciałem pana urazić. Założmy zresztą, że Drawski rzeczywiście nie trzymał krucyfiks u siebie. Pozostaje jednak pytanie, co z nim zrobił?

– Rozmawiałem z byłą żoną Tomasza, panią Lucyną, z jego młodszym bratem, a nawet z przyjaciółką, którą Drawski zafundował sobie na stare lata. Dotarcie do tych osób kosztowało mnie wiele zachodu, niestety nie dowiedziałem się od nich niczego. Między innymi i z tego powodu napisałem Antoniemu, że powinien zaangażować jakiegoś fachowca.

– Najpierw zdecydowaliście się na miejscowego adwokata?

– Antoni znał Poniszyńskiego i życzył sobie, żebym się z nim skontaktował. Uważam jednak, że nie był to najlepszy wybór.

– Gość nic nie zwojował?

– W każdym razie tak twierdzi.

– Czyżby miał pan powody, by mu nie ufać?

Sładkowski na moment zawahał się. Najwyraźniej nie wiedział, co odpowiedzieć. Z kłopotu wybawił go kelner, który w nadziei na kolejne zamówienie stanął właśnie przy ich stoliku.

– Co podać szanownym panom? – Ukłonił się nisko. – Jeśli panowie pozwolą, polecałbym...

– Dziękujemy – szorstko przerwał detektyw. – Należność za szynceł i whisky proszę dopisać do mego rachunku.

Kelner popatrzył na Jonathana z nie ukrywaną urazą. Przez chwilę stał jeszcze w bezruchu, jak gdyby czekał na zmianę nierozsądnej decyzji, w końcu jednak odmaszerował majestatycznie w kierunku jednego z sąsiednich stolików. Dembinski nie bacząc na konwenanse podniósł się z miejsca.

– Jest pan wozem? – zapytał Sładkowskiego.

– Owszem.

– W takim razie pozwolę sobie skorzystać z pańskich usług.

– Bardzo proszę. – Wyraz twarzy Sładkowskiego świadczył wymownie, że nie jest zachwycony pomysłem detektywa. – Może pan dysponować mną do woli.

– Pojedziemy do Poniszyńskiego, a potem chciałbym zobaczyć się z Daleckim.

– Nie za późno na takie nie zapowiadane wizyty? Minęła już dwudziesta.

– W Stanach o tej porze dopiero zaczyna się życie towarzyskie. Mam nadzieję, że u was nie chodzi się spać z kurami.

Niespełna pół godziny później byli już na Saskiej Kępie. Sładkowski zaparkował swego poloneza przed czteropiętrowym, przedwojennym domem przy Królowej Aldony. Poniszyński zajmował mieszkanie na pierwszym piętrze. Przez dobrą minutę dzwonili i stukali, wreszcie drzwi otworzyły się i w progu stanął tęgi, barczysty mężczyzna o czerwonej, nalanej twarzy.

– Kogo, u diabła, mi pan tu prowadzi?! – rzucił opryskliwie do Sładkowskiego. – Ile razy mam panu powtarzać, że w domu nie prowadzę kancelarii adwokackiej i nie załatwiam żadnych interesów?!

– Reprezentuję Antoniego Paszczyńskiego. – Dembinski nie czekając na zaproszenie wkroczył do przedpokoju. – O ile się nie mylę, to również pański klient.

– Klient, który nie płaci, to żaden klient – zaoponował adwokat. – Nie stać mnie na to, bym świadczył usługi w czynie społecznym.

– Kto mówi o darmowym świadczeniu usług? – zachnął się Sładkowski. – Już zapomniał pan, że przekazałem panu dwadzieścia tysięcy złotych?

– Cóż to jest dwadzieścia tysięcy? Tyle płaci mi byle sklepowa, żebym wybronił ją z drobnego manka.

– Ja dałbym panu więcej – podchwycił Jonathan. – Oczywiście, jeśli dysponuje pan jakimiś wartościowymi informacjami.

– Skoro rozmawiał pan ze Sładkowskim, powinien pan wiedzieć, że mnie już ta sprawa nie interesuje.

– Niezależnie od ceny?

– Straciłem blisko rok na szukanie tego mitycznego krucyfiks. Jeździłem w góry i na wybrzeże, przepytywałem ludzi. Moim zdaniem krzyż został wywieziony z kraju albo przetopiony na obrączki.

– Może jednak czeka gdzieś na swego znalazcę.

– Szczerze wątpię.

– Mimo wszystko byłbym bardzo zobowiązany, gdyby mi pan przekazał zdobyte nazwiska i adresy.

– Czemu nie? – Po twarzy Poniszyńskiego przemknął złośliwy uśmiech. – Policzę panu po pięćdziesiąt dolarów od sztuki... I bierze pan wszystko, hurtem.

– Jeśli krucyfiks faktycznie nie ma w Polsce, to setka wystarczy za całą listę.

– Pogadaliśmy sobie. – Adwokat wzruszył ramionami. – A teraz spływajcie stąd, bo obrzydły mi wasze gęby!

– Nie tak ostro, drogi panie! – Detektyw nie dał wyprowadzić się z równowagi. – Ja jeszcze nie skończyłem.

– Ale ja jestem u siebie i nie muszę znosić obecności intruzów.

– A jednak wrócimy jeszcze do tej rozmowy.

– Nic nowego ode mnie pan nie usłyszysz.

Chwilę później dwaj mężczyźni znaleźli się na schodach, a za ich plecami drzwi mieszkania Poniszyńskiego zamknęły się z trzaskiem. Sładkowski w przeciwieństwie do Jonathana nawet nie próbował ukryć, jak bardzo ubodło go zachowanie adwokata.

– Głupi cham! – warknął ze złością. – Wszystko, co ma, zawdzięcza Antoniemu. Co za człowiek! Wystarczyło, że wiatr zawiał z innej strony, i natychmiast zapomniał o wdzięczności. A w ogóle to jak on nas potraktował!

– Albo kłamie, albo faktycznie nie udało mu się wpaść na trop krucyfiks i musiał na kimś wyładować złość z powodu niepowodzenia. Tak czy inaczej nie jesteśmy pożądanymi gośćmi w jego domu.

– Pan wie, że nie miałem ochoty na tę wizytę.

– Czekaj nas jeszcze druga.
– Zostawmy to na jutro. Mieszkam dwa kroki stąd, na Francuskiej, mam dobrą kawę i jakąś butelczynę... Pan pewno zmęczony daleką podróżą, a ja chętnie posłuchałbym wieści ze świata.

– Z przyjemnością skorzystam z zaproszenia, ale wolałbym najpierw rzucić okiem na dom Drawskiego i pogadać z jego siostrzeńcem. Mam nadzieję, że to niedaleko?

– Najwyżej kilkaset metrów. Dalecki mieszka przy Krynicznej.

Wrócili do poloneza i kilka minut później zatrzymali się przed niezbyt okazałą, parterową willą stojącą w niewielkim ogrodzie. Tym razem detektyw wysiadł sam. Przez dłuższą chwilę lustrował dom i jego otoczenie uważnym spojrzeniem. Na świeżym śniegu pokrywającym ścieżki w ogródku nie dostrzegł niczych śladów, w oknach willi nie paliło się światło, a o przedostaniu się na jej tyły nie było mowy, gdyż na przeszkodzie stały, tworzące jeden ciąg, płoty sąsiednich posesji.

Dembinsky nacisnął dzwonek przy furtce. Zgodnie z jego przewidywaniami w środku panowała cisza. Jonathan miał już zamiar wracać do samochodu, kiedy przemknęła mu myśl, że nie powinien przegapić takiej okazji. Skinął Sładowskiemu na pożegnanie i jak gdyby nigdy nic pomaszerował ulicą przed siebie.

Krewniak Paszczyńskiego był domyślnym człowiekiem. Detektyw nie przeszedł nawet piętnastu kroków, gdy silnik poloneza zawarczał basowo i po kilkunastu sekundach światła pozycyjne wozu zniknęły za najbliższym rogiem. Dembinsky mógł już wrócić pod willę Daleckiego. Znów doszedł do furtki, rozejrzał się czujnie dokoła i nie dostrzegłszy na ulicy żywego ducha naprężył mięśnie i miękko niczym kot przesadził ogrodzenie.

Okna na tyłach willi były równie ciemne jak te od frontu. Przez moment detektyw zastanawiał się, czy nie skorzystać z któregoś z nich, ostatecznie jednak postanowił sprawdzić zamki wąskiego zapasowego wejścia tuż przy rogu budynku. Wyciągnął z kieszeni gumowe rękawiczki, niewielkie etui z podręcznym kompletem wytrychów i miniaturową latarkę. Wsunął pierwszy z brzegu wytrych w dziurkę pod klamką i niemal natychmiast splunął z pogardą. Zamek otworzyłoby nawet dziecko. Pokonanie prymitywnej zasuwki również nie nastroczało żadnych trudności i pół minuty później Jonathan był już w środku.

Wnętrze willi nie wyglądało imponująco. Trzy pokoje, coś pośredniego między holem a salonem i spora kuchnia ze spiżarką oraz służbówką zajmowały nie więcej niż jakieś siedemdziesiąt pięć metrów kwadratowych. Również umeblowanie nie wskazywało na to, że Drawski bądź Dalecki należeli do ludzi zamożnych.

Detektyw spenetrował pobieżnie kuchnię, sypialnię i salon, wreszcie zatrzymał się dłużej w pokoju spełniającym niegdyś funkcję gabinetu. Obecny właściciel najwidoczniej w ogóle tu nie zaglądał, o czym świadczyły pajęczyny we wszystkich kątach i gruba warstwa kurzu na sprzętach. Uwagę Jonathana zwróciło stare cokolwiek zdezelowane biurko. Podsunął sobie ciężki, obity skórą fotel, usiadł i spróbował otworzyć jedną z szuflad. Nie stawiała oporu. W środku znajdowało się mnóstwo nie wiedzieć po co gromadzonych rachunków za gaz, światło, telefon i ciepłą wodę, a także sporo pożółkłych ze starości paragonów i pokwitowań. Niecierpliwie otworzył drugą szufladę. Leżały tu pedantycznie posegregowane listy. Na wszystkich kopertach figurowało nazwisko Tomasza Drawskiego, za to nadawców można było doliczyć się kilkudziesięciu. Detektyw zabrał się do wyrywkowego sprawdzania korespondencji, ale i tym razem dość szybko dał za wygraną. Listy pochodziły z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, nie mogły więc mieć żadnego związku ze szmaragdowym krucyfiksem.

Jeszcze przez dobry kwadrans Dembinsky przeglądał zawartość biurka, nim zorientował się, że nie znajdzie tutaj niczego interesującego. W końcu wstał z fotela i podszedł do oszklonej biblioteki. W świetle latarki przeczytał kilka tytułów widniejących na grzbietach książek i nagle drgnął. Wyglądało na to, że ktoś zdjął z półek większą część książek, a potem

byle jak upchnął je z powrotem. Na wszelki wypadek Jonathan wyjął kilka tomów, podejrzliwie przyjrzał się tylnej ścianie biblioteki, nic jednak nie wskazywało, by była tam jakaś skrytka.

Detektyw wrócił do salonu. Zaglądając tu poprzednio nie zainteresował się wiszącymi na ścianie, potężnymi wieńcami jelenia, ale teraz coś go tknęło, by podejść do nich bliżej. Delikatnie przejechał dłonią po rogu i nagiej czaszce. Wieńce niebezpiecznie zachybotwały. Przytrzymał je obiema rękami, żeby nie spadły, i rozejrzał się za jakimś krzesłem. Chwilę później piękne, myśliwskie trofeum leżało na dywanie. Dembinski przyklęknął nad wieńcami. Pierwotnie czaszka jelenia była przytwierdzona do szerokiego, rzeźbionego na brzegach medalionu dwiema solidnymi śrubami, ale stosunkowo niedawno ktoś te śruby wyrwał i umocował wieńce kawałkiem zwykłego drutu. Drut był na tyle miękki, że Jonathan zdołał odgiąć ręką jego skręcone końce. Teraz mógł obejrzeć dokładnie wnętrze czaszki. Zgodnie z przewidywaniami detektywa było ono puste. Choć nie, niezupełnie. W załomku kości tkwił maleńki skrawek papieru, a ściślej biorąc rożek zwykłej, niebieskiej koperty.

Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, nocną ciszę rozdarł ostry, przenikliwy dzwonek do drzwi. Dembinski zamarł w bezruchu. Upłynęło kilka sekund i dzwonek zabrzmiał ponownie, tym razem już znacznie dłużej i jakby bardziej natarczywie. Jonathan schował rożek koperty do małej, plastikowej torebeczki i zaczął spiesźnie przytwierdzać wieńce do medalionu. Na trzeci dzwonek prawie nie zwrócił uwagi. Jeszcze chwila i wieńce znalazły się na swoim miejscu na ścianie.

Detektyw zerknął na zegarek. Właśnie mijała północ. Jak na polskie stosunki pora była stanowczo zbyt późna na składanie wizyt. Widocznie nieoczekiwany gość zdał sobie z tego sprawę, bo dzwonek milczał. Przez kilka minut Dembinski nasłuchiwał jeszcze, ale uspokojony panującą dookoła ciszą postanowił opuścić willę Daleckiego i wracać do hotelu. Wymknął się przez tylne drzwi, zamknął wytrychem obydwie zamki i pobiegł chyłkiem do furtki. Od strony ogródka zatrzask można było otworzyć po prostu kławką, nie musiał więc już skakać przez ogrodzenie. Ostatni raz rozejrzał się dookoła i nie widząc w pobliżu nikogo bez obawy wyszedł na ulicę.

Od najbliższego skrzyżowania dzieliło go niespełna piętnaście metrów, kiedy zza rogu wytoczyło się trzech podejrzanie chwiejących się na nogach młodych ludzi. W pierwszym momencie nie zwrócił na nich uwagi. Ostatecznie pijackie krzyki i przekleństwa brzmiały dość podobnie, niezależnie od szerokości geograficznej i języka. Zastanowił się dopiero kiedy jeden z chuliganów, który potknął się o krawężnik, zamiast runąć nosem w śnieg dziwnie łatwo odzyskał równowagę. Jonathan chciał przyspieszyć kroku, ale w tej samej chwili chwycił go za łokieć niezbyt wysoki, barczysty blondyn o spłaszczonym nosie.

– Te, frajer! – Od chłopaka powiało piwem, jego głos zabrzmiał jednak całkiem trzeźwo. – Kopsnij szluga!

Detektywowi przemknęła myśl, że tamten umyślnie szuka zaczepki, jednak spróbował uniknąć wiszącej na włosku awantury.

– Nie rozumiem cię, chłopie – powiedział spokojnie. – O co ci chodzi?

– Daj stówkę na piwo! – Z drugiej strony Jonathana pojawił się przyszczaty chudzielec w czapce z daszkiem.

– Może być stówka.

– Lepiej dwie, jakieś taki dziany!

Za plecami detektywa zadudniły czyjeś ciężkie kroki. Zerknął ukradkiem do tyłu i dostrzegł kolejnego typa o mocno podejrzanym fizjonomii. Teraz nie wahał się już ani przez moment. Z półobrotu wymierzył blondynowi potężny cios w okolicę dołka, tamten zawył z bólu i osunął się na kolana. Kopniak przeznaczony dla przyszczatego, choć znacznie mniej precyzyjny, wystarczył, by przeciwnik stracił równowagę. Trzeci z chuliganów odskoczył jak oparzony, a nadbiegający miał jeszcze do pokonania co najmniej ze dwadzieścia metrów.

Sytuacja nie przedstawiała się najgorzej, Jonathan uznał jednak, że lepiej wziąć nogi za pas. Co sił puścił się w kierunku niezbyt odległej ulicy Francuskiej.

Po kilkunastu krokach nie zwalniając tempa obejrzał się za siebie. Napastnicy pędzili za nim. Tylko powalony przed chwilą blondyn został nieco z tyłu, pozostali byli tuż-tuż. Przyspieszył jeszcze i po kilku sekundach mijał kolejne skrzyżowanie. Teraz od Francuskiej dzieliło go nie więcej niż jakieś sto pięćdziesiąt metrów. Z nadzieją popatrzył w tamtym kierunku, spotkało go jednak rozczarowanie. Ulica wyglądała na równie pustą jak ta, którą uciekał przed chuliganami.

Dembinsky zwolnił, jak gdyby brakowało mu oddechu. Moment później usłyszał tuż za plecami dudnienie kroków najszybszego z goniących. Kątem oka dostrzegł niezbyt wysokiego, drobnego chłopaka z krótką pałką albo kawałkiem rurki w ręku. Ryzyko było spore, ale Jonathan zdawał sobie sprawę, że nie ma innego wyjścia. Odwrócił się nagle, chwycił tamtego za ramię i ściągając ku sobie schylił głowę tak, by znalazła się na wysokości szczęki chłopaka. Zderzenieomal nie zamroczyło detektywa, za to napastnik bez jakiegokolwiek odruchu obrony zwałił się niczym kłoda na ziemię.

Dembinsky miał teraz przeciwko sobie trzech chuliganów. Niestety, wszyscy byli uzbrojeni. W ręku pryszczatego zauważył brzytwę, niski, tęgi szatyn szykował się do ataku wymachując sprężyną zakończoną ciężarkiem, a trzeci z przeciwników wyciągał właśnie zza pazuchy krótki nóż o szerokim ostrzu. Jonathan był bezbronny i nie miał innego wyjścia poza ucieczką.

Powalony dopiero co chłopak zaczął dźwigać się na kolana. Szło mu to opornie, jednak detektyw wolał nie czekać. Co sił w nogach wyrwał do przodu i odległość dzielącą go od Francuskiej pokonał w rekordowym tempie. Wybiegł na środek jezdni i nagle odetchnął z ulgą. Ulicą nadjeżdżał jakiś maluch. Moment później samochód ostro przyhamował i prawe drzwi otworzyły się przed detektywem.

– Niech pan wsiada! – Głos rudowłosej dziewczyny zabrzmiał ostro i zdecydowanie. – Na co pan czeka!

Posłusznie wsunął się do środka. Nim zdążył zatrzaskać drzwi, maluch wyrwał do przodu, zawadzając tylnym zderzakiem któregoś z chuliganów. Tamten runął jak długi na jezdnię, ale ani prowadząca samochód dziewczyna, ani Jonathan nie obejrzel się za siebie.

– Wybawiła mnie pani z nie lada opresji – wyznał szczerze. – Nie wiem, jak pani dziękować.

– Ostatnimi czasy panowie tak zniewieścieli, że słaba płeć coraz częściej musi brać ich w obronę – roześmiała się dźwięcznie. – A swoją drogą nigdy bym nie przypuszczała, że na Saskiej Kępie grasują chuligani.

– Pani tu mieszka?

– Na Międzynarodowej.

– Miałem szczęście, że właśnie dzisiaj tak późno wracała pani do domu.

– Czasami zdarza mi się wracać jeszcze później.

– Prowadzi pani urozmaicone życie towarzyskie?

– Jak większość studentów.

– O, przepraszam! – uśmiechnął się rozbijając. – Nie przedstawiłem się jeszcze: Jonathan Dembinsky.

– Polonus, który wrócił do starego kraju?

– Można to tak określić.

– Co pana skłoniło do przyjazdu?

– Interesy.

– Businessmani na ogół nie wdają się w nocne awantury z chuliganami.

– Nawet przez myśl mi nie przeszło, że mój spacer będzie miał taki finał.

– Lubi pan opowiadać bajeczki grzecznym dziewczynkom?

– Ależ panno...
– Renata Morzyńska.
– Proszę mi wierzyć, panno Renato, że nie szukałem z nikim zaczepki.
– Prawdę powiedziawszy nie ma to dla mnie żadnego znaczenia. – Samochód przyhamował gwałtownie. – Musimy się pożegnać. Ja już jestem u siebie.
– Nie zaprosi mnie pani na herbatę?
– Nie należę do dziewczyn tracących głowę na widok gościa ze strefy dolarowej – uśmiechnęła się ironicznie.
– Źle mnie pani zrozumiała. Nie miałem na myśli nic zdrożnego.
– Powiedzmy.
– A może umówilibyśmy się na jutro na obiad albo na kolację?
– Żałuję, ale chyba nic z tego nie będzie. Właśnie skończyłam egzaminy i zamierzam wyjechać z Warszawy.
– Pani Renato...
– Trzymaj się, staruszkule, i nie szukaj więcej guza po nocy!

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI